

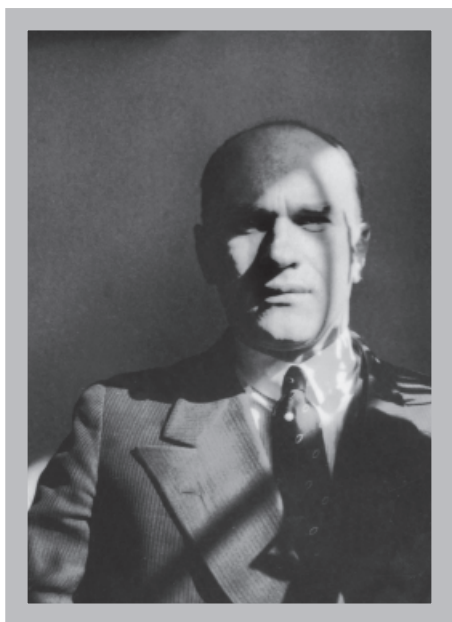
Jarosław

Iwaskiewicz

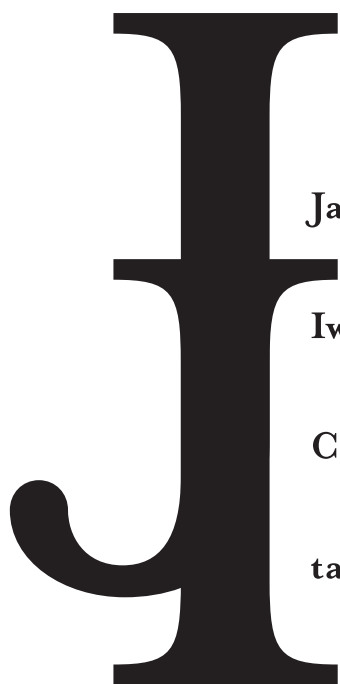
Czerwone

tarcze

MARGINESY



Jarosław Iwaszkiewicz
na placówce dyplomatycznej w Danii.
Tam w 1934 roku napisał *Czerwone tarcze*.



Jarosław
Iwaszkiewicz
Czerwone
tarcze

MARGINESY

COPYRIGHT © The Estate of Jarosław Iwaszkiewicz.
All rights reserved

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2021

Published by arrangement with Beata Stasińska Literary Agency

SŁOWO WSTĘPNE

Czerwone tarcze ukazały się po raz pierwszy na półkach księgarskich dwadzieścia lat temu. Pisałem je przedtem parę dobrych lat: była to chyba ta z moich prac, która wymagała najwięcej wysiłku. Od samej przeto koncepcji tej książki dzieli mnie przeszło ćwierć wieku. Przygotowanie książki było trudne nie tylko z tego powodu, że wymagała ona poważnych studiów historycznych i przeczytania wielu dzieł, ale był to także trud wewnętrzny. Chciałem, aby ta moja powieść historyczna dawała odmienny pogląd na historię niż większość naszych historycznych powieści i aby odpowiedziała mi na wiele pytań, które sobie stawiałem w tej epoce. Od tego pisania oddziela mnie w dniu dzisiejszym nie tylko spory szmat czasu, ale takie wielkie zdarzenia, jakie przeszły nad naszym światem, zostawiając głębokie ślady. Zdarzenia te zmieniły nie tylko mój stosunek do mego dzieła, ale i do samej istoty jego, to znaczy do pytań, jakie sobie wówczas stawiałem. I prawdę powiedziawszy, trudno mi jest w tej chwili określić dość ściśle, jakie były pobudki, które kazały mi zająć się dziejami naszego dwunastego wieku. Wiem tylko, że od dzieciństwa, od kiedy przestudiowałem jako dziecko prawie *Historię wieków średnich* Tadeusza Korzona, postać Henryka Sandomierskiego i jego historia, do której tak mało posiadamy sprawdzonych faktów, zamieszkała głęboko w moim sercu. Widocznie musiałem napisać tę powieść.

A teraz mam do *Czerwonych tarcz* stosunek jak do czegoś obcego; dawno już uschły nici, które mnie z nimi wiązały. I czasami się zastanawiam, dlaczego coraz to nowe wydania tej książki czytane są przez coraz to nowych ludzi. Chciałbym wiedzieć, co w niej odpowiada dzisiejszemu czytelnikowi. Przychodzę do przekonania, że jednak – mimo wszystko – interesuje w niej nie fabuła, nie zagadnienia jednostkowe, psychologiczne, ale społeczne i polityczne. *Czerwone tarcze* są powieścią o państwie.

Myślę, że czytelnika pociąga w mej pracy barwne traktowanie poważnych zagadnień; malownicza szata słowna tej powieści ma swoje znaczenie w zdobyciu przez nią tej nieoczekiwanej przeze mnie popularności.

Zastanawia mnie czasem, czy nie popełniłem błędu, dając mojemu utworowi pesymistyczne zakończenie. Pocieszył mnie niedawno w tym względzie list jednego z moich młodych czytelników, który tak pisał: „Uderzyło mnie samo pesymistyczne założenie tej powieści, pisanej przecież już tak dawno. Ale jest w tym wszystkim jakieś «mobilizujące» moralne ostrzeżenie. Gdy przypominam sobie karty *Czerwonych tarcz*, budzi się we mnie obawa, aby i moje życie nie rozplynęło się w marszu od dnia do dnia, z których każdy miał być startem...”.

Wypowiedź ta, tak szczerą i prostą, znalazła echo w moim wewnętrznym przekonaniu o mobilizującej wartości tej książki. Chciałbym więc teraz, gdy staje się ona w masowym wydaniu dostępna bardzo szerokim rzeszom czytelników, by jej ukryte przede mną i wiadome mi wartości stały się nie tylko czynnikiem estetycznym, ale także moralnym. Aby książka o księciu, który nie umiał zastosować swojego działania do czasów, w których żył, nauczyła nas właściwego zużytkowania własnych możliwości i tej wielkiej szansy, jaką nam daje nasza niezwykła, dramatyczna i konstruktywna epoka.

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

I

W owym czasie kiedy zaczyna się nasza opowieść, miasto Salzburg otoczone było ze wszech stron wielkimi lasami, tak że nawet drogi, które w różne strony z niego wiodły, do Marchii Austriackiej czy do cesarskiej Ratyzbony, raczej przypominały wąwozy w zielonym gąszczu wykute. Nie przedzielona jeszcze tunelem Mnisia Góra ocieniała miasto od zachodu i tam, gdzie się teraz rozciągają łąki i ogrody, ku południowi, do liliowego Untersbergu zmierzające, mieściły się nędzne domki drewniane, szeroko grodzone, tym niewygodne, że od miasta daleko położone, całkiem nie zabezpieczone i na napady narażone. Daleko stąd było do fortecy, do wspaniałego zamku, który, jeszcze na ruinach rzymskiego Juvantium założony, był obroną dla okolicznej ludności wśród ciągłych zamieszek. Tam to, w tej części Salzburga, urodził się i tam się wychowywał Täli, przezwiskiem Turno, które to nazwisko na niego z ojca spadło. Ojciec ten, niestety, gdzieś się w walkach biskupich z książętami bawarskimi głupio zawieruszył, z wyprawy samoczwart nad jeziora i wzgórze, objęte pożogą wojenną, nie powrócił i wcale się już nie zjawił. Zapewne kości jego rozsypały się w jakiej wapiennej rozpadlinie w okolicach klasztoru Świętego Berchtolda. Działo się to zresztą w zupełnym niemowlęctwie Tälego, syna Turna, który wrzeszczał przy łonie matki. Kiedy podrósł, matka uległa leniwym pod-

szeptom zadumy i oddawszy syna opiece stryjów, sama od-
daliła się do klasztoru, w pokorze swej ślubów całkowitych
nie składając, i jedynie jako uboga służka pobożnym pannom
pomagała.

Bartłomiej, czyli Täli, rósł u stryjostwa i rzadko do miasta
i zamku zaglądał. Wydarzyły się wtedy spokojne czasy, po-
bożny biskup modlił się wiele, przesiadywał na dole, w dłu-
gim, niskim i ciemnym kościele, a miecza niechętnie się imał,
choć nie dał sobie w kaszę dmuchać. Toteż Täli niczym nie
skrępowany biegał po lasach i górach, a gdy go raz stryjowie
w pielgrzymkę do pustelni imienia jego patrona nad Jeziorem
Królewskim zabrali, począł od tej pory regularnie z domu zni-
kać i po górach się włóczyć. Czasami tylko coś z takiej wyprawy
przynosił, ale trudno było ruchliwego i lekkiego zwierza za-
bić z niezręcznego łuku przez samego chłopca sporządzonego.
Stryj, póki nudził się w domu, burknął na niego czasami, ale
gdy się Täli dostał na dwór najwyższego kanonika bazyliki
salzburskiej, Ruperta, w domu rzadko siadywał, a kiedy przy-
jeżdżał, czuć go było ciężkim piwem i zaduchem zagrody ka-
nonika, którą raczej karczmą nazwać by należało.

Inny kanonik, Otto, prowadził opodał katedry coś w rodza-
ju szkoły. Samo to było trivium*, gdyż do quadrivium** żaden
z uczeni się nie douczył, a zresztą nie wiadomo, czy kapra-
wy Otto mógłby czego ich nauczyć z geometrii lub muzyki.
Buczał więc Täli tylko piskliwie w chórze katedralnym wraz
z innymi ubogimi księżmi i klerykami, których pełno było na
dworze pobożnego biskupa – cała to była jego muzyka, a geo-
metrii tyle się chyba tylko nauczył, co trzeba było na kreślenie

* *Trivium* (łac.) – szkoła średnia niższego stopnia, w której głównie uczo-
no łaciny. Kurs trivium obejmował trzy przedmioty: gramatykę, retorykę
i dialektykę.

** *Quadrivium* (łac.) – szkoła średnia wyższego stopnia, obejmowała czte-
ry przedmioty: arytmetykę, geometrię, astronomię i muzykę.

kwadratów i prostokątów po piasku na placu przed katedrą, aby po tych kwadratach na nodze skakać i drobne kamyczki z „piekła” do „nieba” wybijać. Piekłem też straszyl go kanonik Otto na lekcjach, rzadko mu o rozkoszach nieba wspominając, a Täli szybko uciekał z klasy, gdy dzwony odpowiednią godzinę obwieściły. Szedł wtedy do ciemnych izb kanonika Ruperta, gdzie się gromadziły zawsze tłumy przechodniów, wędrowców i śpiewaków. Było tam wesoło, choć nie zawsze w miarę – był to także jedyny dom w Salzburgu całym, gdzie piwo ściąskie przygotowywano i mnóstwo zarazem niszczonego doskonałego napoju. U Ruperta Täli był na posługach i z początku zdawało mu się, że w prawie są kanonicy i klerycy do pomiatania jego mizerną osobą. Nie żalił się nikomu i sypiał w sieni, pod schodami, posławszy sobie na sianie parę skór wytartych, przykrywając się zawszonym habitem Ruperta czy innego księżulka. Spod schodów widać było w zimie przez szerokie odrzwia wielki pokój z kominem, na którym paliło się ognisko ogromne, bo tak lubił kanonik, który jako proboszcz świętego Antoniego nie bawił się w niepotrzebne oszczędności. W lecie otwarte były inne drzwi – na podwórze wiodące, i widać było przez nie obszerny, obudowany domami plac przed katedrą – a w przerwach między domami pobłysk Salzachy, zwłaszcza kiedy księżyc świecił. Leżał tam sobie Täli i słuchał, co śpiewali Rupertowi ci wszyscy ludzie, którzy do niego na piwo zachodzili. Łagodna ręka snu mieszała mu te widoki i przez zapach dymu z ogniska przychodziły do niego dźwięki pieśni jak z innego świata. A na wiosnę (jedną tylko przeżył wiosnę w domu Ruperta) przychodziły przez drzwi otwarte blaski i zapachy całkowicie innego rozmiaru – świat śpiewał inaczej. Täli patrzył na połysk rzeki i słuchał śpiewu słowików tak, jak o tym śpiewali przed katedrą wędrowni kuglarze. Wyprawiali przy tym różne skoki i nie wiadomo dlaczego Tälemu przyszło na ten widok do głowy, co mu stryjenka

wczoraj mówiła, że skończył już czternaście lat i że powinien coś o sobie pomyśleć. Ale Tãli nic o sobie nie myślał.

Tamtej wiosny przybył na dwór biskupa pewien śpiewak wędrowny, który znakomicie opowiadał. Wieczorem w izbie rycerskiej biskupa Eberharda, gdy biskup skończył modły, którymi udręczał swoich dworzan, i kaptur odrzucił ze swej krogulczej twarzy, śpiewak ten (Turolđ mu było na imię) nudził wszystkich długimi opowiadaniem. Ale biskup, na modlitwy cierpliwy, z równą cierpliwością jak przydługich niesporów słuchał opowiadań Turolđa, które tym trudniej były zrozumiałe, że były na pół szwabską mową, a na pół akwitańską* – mieszaniną dwóch odległych języków mówione.

Ale po paru miesiącach zbrzyďł Turolđ biskupowi i przeszedł na leże do Ruperta; tam równie niechętnie go słuchano, tak iż w końcu przesiadywał w sionce koło Bartłomieja, jemu opowiadał długie historie o rycerzach, które tylko dlatego go nie nudziły, że widział za profilem poety oświetloną przez księżyc drogę wiodącą w dół i płaski, srebrny plac przed katedrą. Ale księżyc świecił przez parę dni za ledwie, nastaly noce ciemne. I wtedy Turolđ począł śpiewać krótkie miłosne piosenki, jakich nie śpiewał ani biskupowi, ani Rupertowi. Głos mu się przelewał słodko w krtani, pięknie naprawdę śpiewał Turolđ, a Tãli po paru dniach umiał już mnóstwo tych piosenek i kiedy raz wszyscy poszli wieczorem do biskupa, który kazał w swojej obecności Rupertowi piwo śląskie warzyć – Tãli prześpiewał sobie wszystkie piosenki, jakich się nauczył – i śpiewał długo w noc.

I po jakimś czasie, już ku jesieni, Turolđ go namówił, aby porzucił Salzburg i udał się z nim razem do Ratzybony,

* Mowa akwitańska – jeden z dialektów południowofrancuskich. (Akwitanią nazywano w średniowieczu odrębne księstwo znajdujące się na południowych ziemiach Francji).

dokąd wkrótce cesarz na sejm ma zjechać... I powiedział mu, że się nauczy jeszcze więcej pieśni i że razem będą wędrować od miasta do miasta, i że miast tych i zamków jest wiele w cesarskich ziemiach i w Bawarii, i w Szwabii, i ponad Renem wspaniałym. Podobała się sprawa Tälemu i poszedł razem z Turoldem, nawet nie pożegnał się z Rupertem ani z Ottonem. Wprawdzie właśnie tego wieczora popili się obaj i leżeli w komorze jak świnie. Niewielki był bagaż wiadomości, jakie wyniósł z Turoldem Täli – ale i nie potrzebował daleko go dźwigać. Wąwozy pomiędzy górami takie były piękne, trawa zielona, słońce grzejące – że nie mogli iść zbyt prędko. Co chwila, śpiewając pieśni, rozkładali się po murawie i kwiatach i patrzyli na skowronki. Nie pili wina ani piwa, ale Turolda cosik tak rozbierało, aż stawał się czulszy i coraz czulszy. Na jednym postoju wydobył bukłak z resztą wina, które jednak było tak mocne, że i Turnowi, i Turoldowi w głowie się zakręciło. Niebo śpiewało nad nimi, a oni u stóp jakiejś odnogi malowniczego Untersbergu półpijani leżeli. Turolld zaczął śpiewać piosenkę, niby to na cześć Najświętszej Dziewicy ułożoną, ale w końcu tak lubieżną i nieprzyzwoitą, że Täli, mimo że był pijany, zastanowił się i wsparłszy się na łokciu, zaczął z niepokojem spoglądać na Turollda. Turolld nie przestawał bluźnić.

Täli ze wstrętem spojrział na wędrownego śpiewaka i pobiegł na oślep przez trawę ku gościńcowi. Na drogę wybiegł w momencie, kiedy nią właśnie przejeżdżał młody jakiś pan na białym hyrkańskim* koniu. Giermek mu towarzyszył, opodal się trzymając. Täli upadł przed koniem na kolana, aż pan gwałtownie cugle ściągnął; chłopiec, cały jeszcze załem miotany, rozplakał się głośno.

* Hyrkania – starożytna nazwa krainy azjatyckiej na południowym brzegu Morza Kaspijskiego (dzisiejszy północny Iran).

Rycerz wydawał się bardzo zdziwiony i opierając się ręką o kłęb konia, zwrócił się ku pacholcowi:

– Zapytaj, Lestku, czego chce ten chłopak?

Rycerz był bardzo młody, nieledwie w wieku swego giermka, albo się takim młodym wydawał. Miał jasne włosy nie ściśnięte hełmem; puszczone miękko wiły mu się nad karkiem i złociły po słońcu. Twarz miał różową, a oczy niebieskie. Przenikliwe były i raczej w kolor stalowy wpadające – wpiły się teraz w nie bardzo przytomną twarz Bartłomieja. Nos nieforemny, ale cienki, ku górze zadarty, nadawał twarzy rycerza wyraz ciekawości. Täli od razu poczuł, że dobrze trafił i że przypadek był tym razem na niego łaskawy. Obejrzał się i ujrzał, że Turold chowa się za drzewem. Giermek rycerski zeskoczył z konia i pochylił się nad klęczącym chłopcem: ogromnego był wzrostu.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Opieki – powiedział chłopak i podniósł wzrok ze sługi na pana. Rycerz siedział na koniu bez strzemion. Miał podłożony pod siebie szmat kolorowego wełniaka przewiązany poprzęgą, obie nogi w jasnych i bardzo obcisłych spodniach zwisały swobodnie, ujęte na końcu w szare safianowe buty, sznurowane rzemykami. Pochylił się jeszcze raz ku chłopcu, a potem, nie namyślając się wiele, powiedział giermkowi:

– Weź go za siebie, Lestko, zabierzemy go w drogę.

Giermek posadził go na swojego konia, potem sam skoczył. Wtedy podszedł Turolodus i podał Tälemu bez słowa swój instrument. Był to rodzaj skrzypiec czy teorbanu, na którym się grało smyczkiem mającym kształt łuku.

Täli uśmiechnął się do Turolda, wziął wiołę i spojrzał przed siebie. Rycerz odsadził się już spory kawał i jechał w głębokim zamyśleniu, nie oglądając się. Lestko zaciął konia i ruszyli śladem poprzednika, trzymając się wciąż od niego w przyzwoitej odległości. Täli raz tylko obejrzał się na Turolda, który stał

przy drodze i kiwał ku niemu dłonią. Wydawał się trochę zafasowany.

- Dokąd jedziemy? - zapytał po chwili Täli towarzysza.

- Do klasztoru Świętego Bartłomieja nad jeziorem... a potem dalej...

- Jeszcze dalej?

- Do pewnego dalekiego klasztoru w Szwabii. Nazywa się Zwiefalten...

- I tak sami?

- Mój pan zawsze tak jeździ. Ma tylko sakwę z pieniędzmi, kopię w ręku - i łuk za plecami. Nawet miecza nie ma. Ja za to dźwigam nożyk.

- Czuję to - powiedział Täli - bo mnie bije po nogach.

- I jakoś dotąd bezpiecznie jedziemy - dodał Lestko.

- Z daleka jedziecie?

- Z bardzo daleka. Z Polski.

- To rzeczywiście daleko? - spytał Täli.

- No oczywiście; jedziemy już parę tygodni. Ale stawaliśmy u biskupa Eberharda w Salzburgu. Strawiliśmy tam parę dni. Ale dobrze nam było.

- A jak się n a s z pan nazywa?

- To jest książę Henryk Sandomierski.

II

Przenocowali w klasztorze Świętego Berchtolda, który napelniony był mnóstwem ludzi, udających się w rozmaite strony nie wiadomo po co. Täli, olśniony przepychem jednych strojów, zdumiał się ubóstwem i brudem innych, zwłaszcza mnichów, z których większość była obdarta i cuchnąca. Słyszał, jak przy wieczerzy niektórzy z nich mówili, iż chcą się udać do Polski i tam głosić ewangelię świętą. Ale ksiązę Henryk nic nie mówił na to, tylko śmiał się głośno. Ksiązę Henryk nic nie powiadał, że jest udzielnym księciem i z królewskiego rodu, i siadywał po społu z wszystkimi do stołu, podniósł się tylko zawczasu i poszli spać wszyscy trzej razem.

Nazajutrz wstali wcześniej i mgła jeszcze stała wszędzie, na drogach kurz rosa przybiła i konie prychały głośno. Ksiązę Henryk od mnichów wziął siwego polskiego mierzynka dla Bartłomieja i pojechali teraz we trzech. Drzewa stały nieruchomo, widać było, jak się mgła podnosiła do góry, jej szybki ruch sprawiał wrażenie, jakby dymiło wszystko, i wnioskowac można było, że dzień będzie upalny i piękny. Ale do Jeziora Królewskiego jest tak niedaleko, że nie zdążyła mgła przeredzić się nawet, a już stanęli nad głęboką wodą. Zielen jej była tak mocna, że zdziwiła bardzo Tälego, ale nie miał czasu się dziwić, bo go zachwył porwał. Zielona i głęboka woda, jak prześcieradło równa, jak tafla marmuru leżała przed nimi,

a ponad nią wznosiły się gwałtownie góry. Stromizny ich w pewnej wysokości poczynały się bielić: śnieg już na nich leżał i nie topniał od ciepłego słońca. Wierzchołki jeszcze były skryte: wisiła tam mgła i w ciszy, jaka panowała nad brzegiem, głos uderzał bezsilnie, jak kamień w białą wełnę ostrzyżoną dopiero co z owiec. Książę Henryk odezwał się do Tälego, ale przez pomyłkę powiedział coś po polsku. Täli nie zrozumiał. Popatrzył na Lestka, ale Lestko uśmiechnął się, patrząc na wodę. Potem pokazał ręką na wysokie skały. Już tam we mgle poczynały przewijać się ciemniejsze kształty, mgła w oczach uciekała szybkim ruchem w górę i po chwili zarysowały się kontury wierzchołków, ukazały się nawet na moment w całej swojej okazałości, po czym znowu się w ruchome morze mgły zanurzyły.

Lestko po chwili ujął róg, który miał zawieszony na skórzanym swojej kurtce, i zatrąbił donośnie. Głos z początku uderzał w miękką zasłonę, ale po jakimś czasie dobiegło ich od dalekiej góry brzmiące echo, przeleciało z powrotem zieloną wodę i uderzyło jeszcze parę razy o kamienie. Täli spojrzął w oczy księcia Henryka, a w nich odbiła się jakaś radość połyskliwa. I wtedy Täli poczuł przypływ sympatii do tego milkliwego i zarumienionego młodzieńca z królewskiej krwi, z dalekiego kraju. Na zew trombity przypłynęła z niedalekiej zatoczki łódka, przewoźnik skłonił się, a gdy wszyscy wsiedli, książę kazał wieźć do klasztoru Świętego Bartłomieja. Zresztą gdzie miał wieźć indziej? Jedna tylko była miejscowość przez ludzi zamieszkała nad brzegiem głębokiego jeziora. Płynęli przez wody prawie nieruchome, które się chwiały wielkimi płaszczynami. Na pochyłonych równiach wód widniały od czasu do czasu parami czy po trzy, po cztery pływające dzikie kaczki. Täli pochylił się przez burtę i nie patrząc na spokojne wiosłowanie przewoźnika, zanurzył rękę w wodzie. Była zimniejsza, niż się spodziewał, i w jej malachitowym dnie ujrzał nagle

obrócone na odwrót śnieżyste szczyty. Spojrzał w górę. Mgła uciekła.

Nagle ksiązę zwrócił się z uśmiechem do Lestka:

– Pamiętasz Kijów?

Lestko skinął głową. Pomiędzy ich oczami przebiegła radosna błyskawica, aż Tāli także się ucieszył, choć nie znał fal Dnieprowych, które tamtym się na jeziorze niemieckim przypomniały, ani tych świątyń niskich a kopulastych. Ale wnet nad brzegiem stojącą ujrzeli taką właśnie świątynię, niską dość – a może się tylko taka niska wobec otaczających ścian górskich wydawała – o czterech kopułach z gontu, przykrywających bielone okrągłości. Wydała im się świątynka i dziwna, i zagubiona, i tym bardziej na chwałę Bożą przydatna, pomiędzy wodą zieloną a górą białą. Za kościółkiem stał z bali modrzewiowych zbity niski, stary, ślepiami okien błyszczący klasztor, jakby chłonał chłodnawe powietrze gór rozwartymi wrotami. Od klasztoru dążyło kilku ludzi w szarych opończach ku małej przystani.

Niestety, nie zastał w klasztorze ksiązę Henryk opiekuna swojego, a matki jego niegdy, księżnej Salomei Bolkowej, zaufanego powiernika, Ottona ze Stuzzingen, który, jak mu na dworze biskupa Eberharda w Salzburgu powiedziano, urządził w ostatnich miesiącach klasztorne osiedle w Bartholomä nad Jeziorem Królewskim. Jednak wieści nadchodzące z Bambergu, gdzie obecnie przebywał cesarz po powrocie z Ziemi Świętej, jak i ogólny stan cesarstwa, zmusiły mnicha do opuszczenia zacisznego klasztoru. Stało się tak, iż musiał się udać do Szwabii i do Zwiefalten, aby tam u pewnych wpływowych osób zasięgnąć języka, jak się ma naprawdę sprawa z przygotowaniami do wyprawy cesarskiej na księstwo krakowskie, na braci szwagra cesarskiego, Piastowiczów w Polsce rozsiadłych i rozłożonych, gdyż mocą testamentu księżny Salomei Ottonowi ze Stuzzingen powierzona była opieka moralna nad jej potomstwem

i miał on pilnować, aby nikt synów jej i córek (a było tego pod dostatkiem) nie skrzywdził w niczym, ziemi im nie rabował, na wolność ich nie nastawał.

Wszystko to im opowiadał mnich starszy i godny – nazywał się Krezus – gdy siedzieli koło południa nad jeziorem i patrzyli na słoneczne plamy na aksamitnej wodzie. Przedtem modlili się cały ranek w ciemnej cerkiewce. Książę Henryk ukląkł pośrodku, na drewnianej podłodze, i słuchał, jak zakonnicy piali. Małe okienka otwarte były na niebieskie niebo, ale widać było tylko czasem przelatujące ptaki. Oknami tymi szedł zimny zapach stopionego śniegu i ciepło rozgrzanego powietrza, a schowani po bokach kapliczki zakonnicy śpiewali długie psalmy i modlitwy, chociaż msza przy ołtarzu dawno się skończyła. Tāli, nawykły do śpiewu w Salzburgu, przysłuchiwał się uważnie, ściskając wiołę, którą nosił w obszernym rękawie swej burej kurteczki. Ale mnisi piali inaczej, niż u biskupa w katedrze odzywały się chóry. Śpiewali równo, choć uczenie, i odpowiadali sobie tymi samymi nutami, to znowuż dwa półchóry nacierały na siebie i nim jeden skończył werset, to drugi już respons rozpoczął, tamten imitując. Ale składnie to szło i bardzo pięknie. Lestko za to pół klęcząc oparł się o ścianę i nieznacznie odwracał się ku drzwiom szeroko otwartym. Przez wrota widać było góry i kawałek jeziora, i niebo, wszystko to samo, co dotąd widzieli, ale teraz całkiem inne, niż mu się wydawało, gdy widział to w obramowaniu drzwi czarnych od lat, modrzewiowych. Pachniało trochę kadzidłem, ale bardziej górami. Pociągnął za rękaw Tālego i pokazał mu przez drzwi:

– Patrz, całe stado kaczek na jeziorze.

Ale Tāli kaczek nie widział, nie miał tak dobrego wzroku; mimo to jego również oczarował ten zielony, biały, niebieski widok przez wrota kościelne.

– Jak tu pięknie – powiedział – śpiewają.

Książę Henryk zerknął ku nim od modlitwy. Klęczał cały czas równo i o niewytoczoną kopię wsparty, choć mnichom dziwno było, że z taką bronią do kościoła wchodzi. Widać było, że słucha w skupieniu tego śpiewania. Bardzo lubił muzykę.

Toteż gdy już po modlitwie siedzieli nad jeziorem, nie bardzo uważał, co mu Krezus opowiadał o zasługach, jakie mistrz Otto ma wobec polskich książąt i monarchii Krzywoustego, natomiast chętnym uchem łowił okrzyki czajek nad jeziorem, a czasami dolatywał także osobliwy, przeciągły okrzyk pasterzy, którzy owce już na niższe miejsca spędzili.

– Tra-la-la-la-la-riki – wołali pastusi. Täli i Lestko siedzieli poniżej na kamieniach i słuchając rozmowy księcia z mnichem, napawali się pięknością szarego płata wody. Täli dostał z rękawa wiołę i pobrzękiwał na niej, a gdy zamilkli rozmawiający, pozwolił sobie i zagrać. Melodia zdawała się nikła w obszernym powietrzu, jakie ich otaczało, gasła wobec gór i wody, i śniegu, ale jednak brzmiała przyjemnie. Tak samo miły jest świergot ptasi, tak samo przyjemne brzęczenie pszczoły. Täli spojrzął na księcia: oczy jego szare pobiegły nagle równoległe do siwej wody i widać było, że nie widzi wspaniałych skał, tylko jakieś dalekie, jemu tylko wiadome sprawy. Oko jego nie błyszczało jednak tak jak przed chwilą, gdy mówił o Kijowie, ale zdawało się sięgać głębiej. Täli poczuł w tym wzroku, mijającym wszystko, aprobatę swojej muzyki i głosem wysokim zaczął śpiewać:

...Dobrze uderza Karol, wielki król,
I diuk Naimes, książę Ogier duńskie,
Godfryd Anweński, który dzierżał znamię,
Ale Ogier książę najtęższą ma dłoń...

Głosik chłopięcy, cieniutki, ginął, niklejszy był od nutek wiolki, ale Henryk uśmiechnął się, nie odrywając oczu od od-

ległych rzeczy, które widział. Potem, gdy prześpiewał jeszcze parę strof, urwał i popatrzył na starszych, ale Henryk się nie odezwał, a mnich opuścił głowę w zadumaniu. Słońce obu rozebrało i ciepło przedjesiennego popołudnia. Książę wciąż się jeszcze uśmiechał – a zresztą wszystko ucichło po muzyce.

Powiedział potem mnich:

– Mówią, że cesarz z Ziemi Świętej przywiózł chorobę ciężką i słabość ciała ogromną, umierać mu przyjdzie, czy co? Nie zyskał ani Damaszku, ani Askalonu; na Jerozolimę nastają Saraceni, a wszystko zdaje się darmo, nic nie będzie z tych wypraw, dopóki w grzechu są.

Książę Henryk rzucił przelotne spojrzenie na Krezusa, ale Täli uchwycił cały świat w tym wzroku. – Dziwne on ma oczy – pomyślał i zaraz znowu zabrzączał w gęśliki. Tak mu już ten widok na całe został życie w oczach i dlatego w późniejszych latach pilno mu było do klasztoru nad Królewskie Jezioro: chciał odnaleźć znowu to wszystko, co mu obiecywał wzrok młodego, milkliwego, a wesołego księcia. Ale nie znalazł pewnie, bo to, co w tej chwili widział, to była młodość księcia, a może i bliska śmierć cesarza Konrada, po której miało nastąpić tak sławne, tak wspaniałe cesarskie panowanie.

Przenocowali w klasztorze i nazajutrz jeziorem i górskimi przesmykami (gdyż Henryk nie chciał wracać do Salzburga i przez Innsbruck jechać dalej) przeprowadzeni z początku przez mnicha pewnego, który znał te okolice dokładnie, a potem przez pasterzy, sami wreszcie drogę nierzadko znajdując, przemykali się cichcem lasami; ostrożnie, aby nie zbudzić jakiego zbójckiego rycerza, jakiej napaści wspaniałej – i szli w kierunku klasztoru zwiefaltenńskiego. Mieli tam zastać i mistrza Ottona, a w każdym razie książę miał u benedyktyków i benedyktynek własne interesy.

Zbliżali się ku klasztorowi przez cały dzień drogą już przetartą, choć bardzo górzystą; wznosiła się ona, to opadała. Na

początku dolina, równa i zielona, bieląca nawet od śladów licznych wozów i kopyt, gdyż grunt był wapienny i kruszył się w upale na biały i przenikliwy miazg. Konie posuwały się z wolna, na prawo i na lewo w głębi, za aksamitną czernią świerkowych koron, w przerwach spowodowanych dolinami, jak dalekie zasłony widniały śnieżyste góry. Potem droga stała się węższa i wciąż zdążając brzegiem rozszerzającego się strumyka, który był płowy i zielony, weszła pod przysłone świerków starych jak świat i obrośniętych mchem. Mech zwieszał się jak broda starego rycerza z każdego prawie drzewa; droga kręciła się między pniami i Tāli widział księcia Henryka z kopia w ręce, jak z wolna i zadumany, kołyszany miarowym ruchem rozrosłego konia, przesuwiał się w pasmach słońca i cienia, aż zielona poświata grała na jego jasnej sukni i jasnych włosach, gasnąc, to znowu rozświecając się zielonym złotem. Lestkojechał za nim i od czasu do czasu pokrzykiwał rozległe, urywając gwałtownie na wysokich nutach. Okrzyk ten budził cienie lasu, ale w chwilę potem zapadała znowu cisza. Pachniało miodem i żywicą. Wreszcie w południe dojechali do chatki złożonej ze złomów skalnych, stojącej na wzgórzu nad strumykiem, który tu był już sporą rzeczułką. Książę, nie zsiadając z konia, napił się kwaśnego mleka z drewnianego kubka, śpieszył bowiem, aby jak najprędzej stanąć w klasztorze. Ale musieli jeszcze długimi zakosami wspinać się w górę, konie chrapały i Tāli, spoglądając w dół, widział niebieską mgłę pomiędzy wysokimi świerkami. Konie się bardzo zmęczyły, ale książę zdawał się tego nie widzieć, zamyslił się i nie odezwał ani słowem do chłopców. Osiągnęli najwyższy szczyt, a potem razem ze słońcem poczęli schodzić w dół. I nagle, nieoczekiwanie puszczą i góry rozdarły się przed ich oczami i ponad przepaścistym wąwozem pośrodku przepaści wyrastający, niby ceglasty kwiat złotogłowu, ukazał się budynek, spiętrzony pięciu wieżami. Rycerze stanęli. Na lewo chmury i góry zlewały się w jedno,

szafirowe szczyty wznosiły się jeden poza drugim, a dołem błyszczało białe jezioro. Nad chmurami i górami schowane słońce przesypywało przez szarość ukośne pasma, oświetlając jedynie jezioro. Na prawo urywało się białe, kamieniste usypisko w przepaść, gdzie huczały nowe wody i katarakty spokojnego dopiero co strumienia. Przed nimi w wyrwie wąwozu, jak oko mogło zasięgnąć w mgle oddalenia, topiła się płaska jak stół zielona równina łąk, na której jeszcze gdzieś, prawie stopione z horyzontem, błyszczały dwa jeziora. A na równinnej i mglistej zieleni płaszczyzny odcinał się surowym konturem swej romańskiej konstrukcji budynek. Odezwwał się właśnie srebrny dzwonek, jak głos niewieści śpiewający. Był to klasztor Zwiefalten.

Z bliska, gdy podjechali długą drogą, dobrze wyłożoną wielkimi blokami kamieni, pomiędzy których wyglądały zielone źdźbła, klasztor górny nie wydał się tak surowy. Okiennice zamykające okna, w tej chwili szeroko rozwarte, od środka pomalowane były w rozliczne desenie z kolorowych punktów porobione, na podwórku było pod ścianami dużo kolorowego ziela, a gdy zapukali do bramy, odpowiedziało im mnóstwo wrzasku i śmiechy. Mimo to dziedziniec wewnętrzny był pusty, kiedy wjechali, i po chwili dopiero pacholek wyskoczył skądciś. Widać było, że wstrzymywał się od śmiechu, gdy zabierał konie. Potem dopiero wyszła gruba jakaś baba w kapucy klasztornej i spytała, po co przyjechali. Ksiązę powiedział, że jest z Polski i że w ważnych sprawach ma widzieć się z księżną Gertrudą. Skwapliwie wprowadzono ich do sklepionej sieni obszernego budynku. Przyjemnie było odetchnąć zapachem chłodnej ziemi, którą pachniało klepisko podłogi, po długiej i upalnej drodze. Czekali dosyć długo.

Wreszcie prędkim krokiem, żwawa, energiczna, weszła młoda, choć otyła już niewiasta; rubaszna była w ruchach, stanęła przed drzwiami, w boki się podparła, potem ręką oczy

przysłoniła i popatrzyła w stronę chłopców, bo za światłem siedzieli. Książę porwał się z miejsca i podszedł do niej. Pochylił się do jej nóg i chciał podjąć pod kolana, ale ona mu nie dała, podniosła go, w oba policzki pocałowała. Potem odsunęła go na długość ręki i badawczo spojrzała jasnymi oczami spod płowych, nierównych brwi; mrugała często powiekami, parę niejasnych słów powiedziała, potem chlipnęła prędko, usta jej się wykrzywiły w dół i łzy spłynęły z oczu rzęsiste, które ustały równie nagle. Zatrzymała się, patrzyła na księcia, potem zawahała się, chcąc coś powiedzieć znowu, wreszcie zaśmiała się serdecznie, a twarz jej stała się miła w tym uśmiechu; słońce przejrzało przez mgły.

– Mowy naszej zapomniałam – powiedziała żałośnie po śmiechu.

– To nic, ja mówię po niemiecku, matka uczyła – powiedział Henryk.

– Matka – powiedziała zakonnica i znowu się załała rzęsiстыми łzami.

Táli stał obok Lestka od samego wejścia księżny i teraz podniósł wzrok na Lestka: pytał. Lestko pochylił się, olbrzymi, ku niemu:

– Siostra jego, księżniczka Gertruda – powiedział.

Ale księżna otarła oczy rąbkiem i szybkim krokiem przeprowadziła brata na pokoje klasztorne. O giermkach na razie zapomniano. Odwrócili się w stronę podwórca, gdzie ich taki gwar spotkał; patrzyli przez drzwi otwarte, wreszcie się do wejścia zbliżyli, przez szpary po boki patrzyli. Ujrzeni, jak przez dziedziniec przebiegła dziewczynka niewielka i niezwykle świetnie ubrana, cała w złotogłowie – śmiała się tak, że tylko ten śmiech widzieli i trochę złocistych włosów. Została po niej, jak po przelocie wilgi, złota smuga w wieczornym powietrzu.

Ponadczasowa opowieść o odrodzeniu Królestwa Polskiego.

XII wiek. Czas krucjat, pańszczyzny i bratobójczych walk. Książę Henryk Sandomierski, syn Bolesława Krzywoustego, wyrusza w niebezpieczną podróż przez Europę. Zostawia za sobą rozbitą na dzielnice Polskę targaną konfliktami między pomniejszych i chorobliwie ambitnymi władcami. Odwiedza przepelnione cichym dostojeństwem klasztory i tętniące życiem zamki. Trafia do Rzymu, do Palermo, a stamtąd do Ziemi Świętej, gdzie wraz z templariuszami walczy ramię w ramię z Saracenami. Przez lata towarzyszy mu wizja korony i tego, co symbolizuje – Polski zjednoczonej, silnej, rządzonej żelazną, ale sprawiedliwą ręką jednego władcy. Kiedy książę wraca do Sandomierza, ma już plan działania i mimo trudności stara się wcielić go w życie. Czy posiada jednak wystarczającą charyzmę? Czy ten nasz polski Hamlet, melancholik i marzyciel potrafi zdobyć się na okrucieństwo i bezwzględność? Na akty barbarzyństwa? Ile zdoła poświęcić ze swojego idealizmu, żeby scentralizować władzę?

Jarosław Iwaszkiewicz (1894–1980) – pisarz, poeta, eseista i tłumacz wielokrotnie wymieniany wśród kandydatów do literackiej Nagrody Nobla. Razem z m.in. Julianem Tuwimem i Antonim Słonimskim współtworzył grupę poetycką Skamander. Po ślubie z Anną Lilpopówną osiedlił się w domu w Podkowie Leśnej, który nazwał Stawiskiem. Stamtąd podczas okupacji razem z Marią Dąbrowską i Jerzym Andrzejewskim kierował konspiracyjnym życiem artystycznym. Po wojnie publikował w „Odrodzeniu”, „Przekroju”, „Kuznicy” i „Twórczości”. Jego proza – niezwykle wyrazista, z własną, oryginalną wizją świata – pozostaje na uboczu głównych nurtów.



CENA 44,90 zł

PATRONAT MEDIALNY



lubimyczytać.pl

BOOKLIPS.PL IIIII

w sprzedaży także



**KUP
TERAZ!**